

KS. STEFAN TOMASZKIEWICZ

PODSTAWOWE WIADOMOŚCI Z KONSERWACJI
WYMAGANE OD KIEROWNIKA MUZEUM KOŚCIELNEGO
I REKTORA KOŚCIOŁA

W małym miasteczku Wielkopolski — Sierakowie, położonym wśród malowniczego pojezierza, znajduje się kościół parafialny, zbudowany przez Krzysztofa Bonadurę St., z fundacji Piotra Opalińskiego, wojewody poznańskiego, konsekrowany w r. 1625. W głównym ołtarzu znajduje się obraz Zdjęcia z Krzyża (fig. 42) z warsztatu P. P. Rubensa, przed poł. w. XVII itd. Tak go określił *Katalog Zabytków*, tom V zeszyt 13, s. 17. Architekturę ołtarza poddano konserwacji na koszt państwa, parafia natomiast zafundowała konserwację obrazu, co do którego nasi fachowcy wyrażali się ostrożnie „z warsztatu”. Okazało się, że obraz był już odnawiany, przy okazji nieco przycięty, ale pod warstwą odnowienia spoczywał autentyczny „Rubens” z wszelkimi bogactwami koloru i formy tak charakterystycznych i znanych z dzieł wielkiego mistrza baroku.

Dlaczego rozpoczynam swoje wystąpienie od przekazania słuchaczom najnowszej sensacji mojego wielkopolskiego terenu, sensacji jeszcze nie podanej ze względu na bezpieczeństwo do publicznej wiadomości? (Obraz wraz z elektronicznym zabezpieczeniem przed kradzieżą wróci do nadstawy ołtarzowej dopiero jesienią). Otóż wszelkie omal dzieła minionych wieków w zakresie malarstwa czy rzeźby, jakie posiadamy w gestii Kościoła polskiego, ulegały w swoim żywocie odnawianiu i tak dotrwały do naszych. Jeszcze te dzieła, które upiększały wnętrza pałaców i rezydencji były pieszczone, ale te, które pełniły służbę w kościelnych wnętrzach o zmiennych warunkach klimatycznych były bardzo narażone na działanie tak zwanego zęba czasu i prędzej ulegały destrukcji. Nawet największa polska świętość — obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nie był wolny od tych zabiegów. Jeśli do tego dodamy nieprzewidziane katastrofy w postaci pożarów, powodzi, frontów wojennych, to można stwierdzić, że zaistniały w przeszłości dostateczne przyczyny, aby dzieło zostało obecnie poddane zabiegom konserwatorskim. Ile nas jeszcze czeka sensacyjnych odkryć!

Z drugiej strony należy sobie jasno uprzytomnić, że wszelka przed nami w historii ingerencja odnowicielska była też w zasadzie pracą konserwatorską. Brat Szyftowski też „konserwował” po swojemu na Jasnej Górze, i to w najpobożniejszej intencji, Jasnogórski Obraz w XVII w. Jeśli porównuje się w gronie fachowców współczesną ingerencję konserwatorską do prawdziwie medycznych zabiegów, to te historyczne zabiegi można by określić leczeniem według medycyny ludowej: jeżeli nie pomogli, to na pewno nie zaszkodzili.

Współczesna wiedza konserwatorska jest wprawdzie młodą dziedziną nauki, ale zdołała już nagromadzić dostateczną ilość wiedzy i doświad-

czeń, by ratować nawet takie destrukty, które dla przeciętnego odbiorcy skazane zostały na stracenie. Wpatrzeni w osiągnięcia naszego pokolenia nie możemy pogardzić naszymi nieuczonymi poprzednikami. Oni właśnie uratowali niejedno dzieło do naszych czasów. Dzięki ich ingerencjom odnowicielskim włączane zostały nadto do życia obiekty, które zmienne odczucia estetyczne wykresliły z listy przodujących dzieł sztuki.

W naszej rzeczywistości Polski Ludowej nie ma wprawdzie jeszcze prawnej ochrony zawodu konserwatorskiego *de iure*, ale praktycznie ściga się sądownie oddanie dzieła sztuki w niepowołane ręce. Przed rejonowym sądem w Gdańsku toczyła się sprawa przeciwko rządcy kościoła, który powierzył mały tryptyczek gotycki do konserwacji starszemu jegomościowi z pracującej właśnie w kościele ekipy konserwatorów PKZ (Państwowe Przedsiębiorstwo Pracownie Konserwacji Zabytków). Okazało się, że budzący zaufanie człowiek pracował jako laborant i nie posiadał patentu samodzielnego konserwatora. Rządcy kościoła groziła kara 5 lat za nieumyślne spowodowane zniszczenia zabytku. Tak jest u nas w Polsce, i z tą rzeczywistością należy się liczyć. W pozostałym świecie kulturalnym, tak na Wschodzie jak i na Zachodzie, zdobywa się kwalifikacje konserwatorskie na drodze praktyki, na kształt rzemieślniczego terminu w uznanych pracowniach konserwatorskich.

Tyle słów poświęciłem nowemu, powojennemu zjawisku w Polsce, jakim jest zawód konserwatora. Czynię to celowo i kieruję powyższe moje wywody raczej do rektorów kościołów. Bardzo często rodzą się inwencje restauratorskie spontanicznie, żywiołowo, na skutek spotkań w terenie innowacji, w tym względzie „*exempla trahunt*”! Wówczas szczególnie konieczna jest weryfikacja uprawnień spotkanego u sąsiada konserwatora, a nie wystarczą tylko efekty jego podziwianej zewsząd pracy. Różnie to bywa, „nie wszystko złoto, co się świeci”! Można też efekciarsko zniszczyć zabytek. W pewnym kościele oddano takiemu właśnie uznanemu w opinii ogółu grasującemu w okolicy konserwatorowi dużych rozmiarów obraz ołtarzowy, malowany na desce z początku XVII w. Obraz przedstawiał świętą Rozmowę: Matka Boska z Dzieciątkiem w otoczeniu św. Mikołaja i św. Wojciecha. Po powrocie dzieła do kościoła stał się on obiektem ogólnego podziwu: „jak nowy”! Z czasem zaczęły się pojawiać niepokojące zjawiska, których przed tym nie było: rozkleiły się deski całego podobrazia, a wszelkie uzupełnienia i konserwatorskie rekonstrukcje zaczęły podnosić brzegi. Dzieło uległoby zniszczeniu, gdyby nie natychmiastowy ratunek. Przyczyną pokonserwatorskich szkód była absolutna nieznajomość pracy drewna i warunków klimatycznych polskiego drewnianego kościoła. Natura okazała się silniejsza i drewno podobrazia nie pozwoliło się skrepować. Tę wolność zaznaczyło podobrazie niebezpieczeństwem absolutnego destruktu. I to była także praca konserwatorska, i to powszechnie przyjęta.

W obecnych mądrych czasach, w jakich nam wypadło żyć, zrodził się kryzys samego człowieka. Nie raz pytamy się po bliższym poznaniu, czy to wykształcone indywiduum z censusem można jeszcze nazwać człowiekiem? Pewien zmarły dostojnik kościelny w Polsce tak scharakteryzował swojego bliskiego współpracownika, nota bene duchownego: „tu to on ma!”, wskazując na czoło, „ale tu” — kierując dłoń w okolice serca — „to on nic nie ma”. Czy u nas nie zrodziło się powszechnie stoso-

wane porzekadło w wykonywaniu powierzonych zadań: „Felek trzymaj ścianę, a ja pobiegnę po forse”? W razie choroby, gdy trzeba nam pomocy fachowej, czy nie pytamy nadto o wartość jako człowieka upatrzonego lekarza? Jeśli tak źle jest ogólnie, czy można powierzyć lichemu człowiekowi, chociaż z patentem, drogocenny zabytek? Zmarły twórca wędrującej kopii Matki Boskiej Jasnogórskiej, wybitny pedagog i konserwator mawiał często: „nie tyle pożogi i wojny dokonały spustoszenia w zasobach naszej polskiej kultury, ile nieuczciwość konserwatorów w majestacie pracowni specjalistycznych”. Ta prawda niestety weryfikuje się coraz częściej w społeczności.

Na koszt kiesy państwowej został poddany barokowy nagrobek z piaszkowca posadowiony na cmentarzu przykościelnym. Potomkowie byłych kolatorów wymarli i nie miał kto ratować okazały zabytek. Sprowadzony ze stolicy przez zleceńodawcę wybitny fachowiec, miał ratować naruszoną dolną, przyziemną partię z napisem, skuł połowę inskrypcji, a zamówiony kamieniarz wprawił nową część.

W uznanej pracowni konserwatorskiej prowadzono bardzo poważną i odpowiedzialną pracę konserwatorską przy obrazie malowanym na desce. W tym celu zabezpieczano przez kilka dni lico obrazu naklejając nań warstwami bibułkę, następnie papier tak długo aż powstała warstwa dostatecznie gruba, by chroniła lico przed urazami mechanicznymi. Po ukończeniu pracy konserwatorskiej powinno trwać ostrożne zdejmowanie zabezpieczenia co najmniej dwukrotnie dłużej, warstwa po warstwie. Dla wygody życia, w myśl powszechnie stosowanego hasła: „a bo to moje?”, zdarto jednym pociągnięciem całość i zdarto przy okazji połowę lica obrazu. Nic się nie stało! Ubytki zostaną sprytnie zrekonstruowane i użytkownik nie pozna, że w autentycznej pracowni konserwatorskiej pozbyto go połowy autentyku. Czy to jeszcze będzie obraz z początku XVII wieku? Tu przy tym też był konserwator! A więc o pożądanych efektach decyduje nie jedynie census naukowy, nowoczesne wyposażenie pracowni w unikalną aparaturę, nie dostęp do deficytowych materiałów konserwatorskich a konserwator jako człowiek. Każdy fach ma wypracowaną swoją etykę zawodową. Dla mnie sprawdzianem przydatności zgłaszającego się kandydata do pracy jest jego stosunek do odkrywanego w trakcie prac autora. Jeżeli zabytkowy autor jest dla konserwatora świętością, którą hołubi i pieści, a cieszy się z jej odkrywania, to znak, że można takiemu człowiekowi powierzyć najtrudniejszy problem. Natomiast, gdy obserwuję nonszalancję pracy, a tym bardziej uprawianą winirekcję, to żegnám się grzecznie, choć nie „do widzenia”.

Autor niniejszych wywodów ma to szczęście, jako członek komisji konserwatorskiej Cudownego Obrazu na Jasnej Górze, spotykać w gronie fachowców tak zwane dobre rady odnośnie konserwacji tej polskiej Cudowności. To jest typowe dla naszych rodaków. Gdy mowa w towarzystwie o chorobie, to wszyscy uczestnicy serwują swoje dobre rady lecznicze. Taką pospolitą gripę można najróżnorodniejszymi leczycami i każdy może być skuteczny. Podobnie bywa z leczeniem zabytków. Najistotniejsze jest to, by choremu dziełu sprzed wieków nie szkodzić. Tu też nie ma panaceum na wszelkie choroby, a każdy pacjent bywa inny. A więc zważać, aby konserwator nie szkodził, a leczył.

Na koniec nieco z biurokratycznego podwórka, tak u nas bardzo roz-

budowanego, ale w tym wypadku nieodzownego. Chodzi mianowicie o formalności urzędowe, kiedy obiekt wychodzi w związku z zamierzoną konserwacją poza kościół. Konieczny jest w takim wypadku protokół zdawczo-odbiorczy, zawierający dokładne dane dotyczące obiektu, nadto opis dość szczegółowy oprócz fotografii. Prace bowiem konserwatorskie trwają, nieraz długo, a ludzie bywają śmiertelni. Znam taki przypadek, gdzie zleceniodawca (rządca kościoła) i zleceniobiorca (konserwator) zamknęli w międzyczasie swoje oczy na wieczność. Gdy po kilku latach wyłoniła się niespodziewana sprawa u następcy w rządach parafią, a spadkobierca konserwatora — jak twierdził — nie był wtajemniczony przez swego ojca, nie można było nawet dokładniej określić zaginionego obrazu. Wszystko przepało z kretesem. I jeszcze jeden aspekt z tej samej łączki. Przy odbiorze dzieła z pracowni konserwatorskiej dobrze uczynić to komisyjnie. Poprosić nawet postronnego fachowca do komisji. Referant niniejszego opracowania miał bardzo często okazję spotykać po kościołach dzieła, które przed kilkunastu laty były oddawane fachowcom do konserwacji. Nie chodzi tu o zawodową animozję w stosunku do konkurencji: „ja bym to zrobił lepiej”. Po prostu były to konserwacje robione także dla ubogich duchem, nieco przysłowiowej szminki i pudru, i ze starej babci zrobiono hożą dziewczynę (nota bene tylko tam, gdzie oko ludzkie sięgało) za bardzo słone honorarium. Gorzej, jak się to przydarzyło w pewnym odpustowym miejscu, gdzie po dziesiątkach lat stwierdzono pod srebrnymi sukienkami tylko namalowane karnacje, jakie wyglądały przez lata spoza sreber, na modlących się wiernych. Stary autentyczny piętnastowieczny malarstwa zginął bez śladu, a po konserwacji oddano namiastkę. Kogo pociągać do odpowiedzialności? Wszyscy pomarli. Zachowano świętą tajemnicę, bo wierni gromadzą się nadal corocznie na całotygodniowy odpust przed swą ulubioną Matuchną.

Wszystkie powyższe moje dywagacje na temat problemów związanych z konserwacją dzieł sztuki można by streścić w następujących krótkich hasłach:

1. Tylko w powołane ręce.
2. Autor dzieła największą świętością konserwatora.
3. Noli nocere.
4. Przeworność nie wadzi.